



**Redakcja
Bardzo Uniwersyteckiego
Czasopisma
życzy Wam
Wesołych Świąt
Bożego Narodzenia!**

BEZPŁATNA GAZETA STUDENTÓW WYDZIAŁU NAUK POLITYCZNYCH I DZIENNIKARSTWA

BARDZO UNIWERSYTECKIE CZASOPISMO

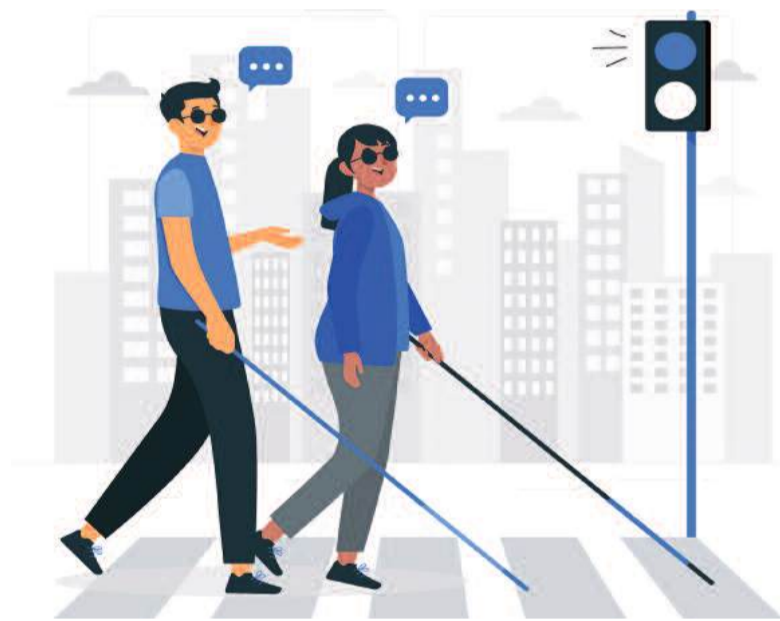
Niewidoczni tylko z pozoru

Na co dzień nie doceniamy tego, jak wiele zawdzięczamy zmysłowi wzroku. Dzięki niemu wykonujemy większość prostych czynności bez zawahania. Gdy tracimy możliwość widzenia, stajemy się zdezorientowani. Od wieków światło, które dostawało się do organizmu za pomocą oczu, kojarzone było jako coś pozytywnego. Ciemność wiązała się z kolei z czymś odpychającym. Nie bez powodu mówimy o kimś zakochanym bez pamięci, że zaślepiła go miłość. Tak samo jak droga bez wyjścia nazywana jest ślepym zaułkiem. Można więc zadać sobie pytanie: jakimi ludźmi są niewidomi? Czy potrafią patrzeć na świat tak, jak my?

Czy stwierdzenie „Tak wyjątkowe oczy, jak Twoje, spotyka się tylko raz w życiu” mówione jako komplement ukochanej osobie jest prawdą? Mimo że używamy tego raczej w kontekście zaimponowania komuś, ma to głębszy sens. Według badań naukowych nasze oko posiada ponad 256 indywidualnych cech (a odcisk palca zaledwie 40). Sprawia to, że nasze oczy mają unikalne wzory naczyń krwionośnych. Zatem tak, więcej na równie piękne oczy nie trafisz. Trafić możesz jednak na osobę, której trudno jest funkcjonować na co dzień. Mowa o niewidomych, którzy nie tracą nadziei na piękne życie. Wytrwale dążą do tego, by radzić sobie samodzielnie.

Ale jak to bez wzroku?

O tym, jak trudne jest życie bez tego zmysłu, nie trzeba nikogo przekonywać. Jednak niewiele wie, z czym to się naprawdę wiąże. Aby ułatwić zrozumienie tego fenomenu, trzeba wybrać się do Niewidzialnej Ulicy w Poznaniu, przy ul. Matejki 53. To właśnie tam znajduje się całkowicie zaciemnione pomieszczenie. Jest ono wypełnione różnymi przeszkodami, przez które trzeba przebrnąć. Podczas odwiedzin należy uzbroić się w pokorę oraz zaufać przewodnikowi. Jeśli



Niewidomi są odważnie kroczącymi przez świat ludźmi

chodzi o nasze ciało, skupiamy się na tym, co czujemy – szczególnie za pomocą dotyku, ale także poprzez słuch czy węch. Zdajemy sobie wtedy sprawę, jak trudne jest życie bez wzroku.

Intrygującym okazuje się, że będąc w sklepie i mając ochotę na jabłko, bierzemy to upatrzone i kierujemy się do kasy. W tej sytuacji osoba niewidoma musi albo poprosić kogoś o pomoc, albo za pomocą dotyku i węchu odkryć, czy ma do czynienia z tym, czego potrzebuje. – Jestem osobą słabowidzącą od urodzenia i nie rozumiem, jak to jest dobrze widzieć – mówi Natalia, przewodniczka po Niewidzialnej Ulicy. – Bardzo trudno mi robić zakupy i jechać w podróż. Osoby słabowidzące i niewidome zawsze są wdzięczne tym osobom, które chcą nam pomóc. Ale może być to taka przesadna pomoc i wtedy powinno się pytać – dodaje. Mowa o sytuacji, gdy osoba niewidoma prosi chociażby o wskazanie jej półki z ciastkami. Innym problemem są ułatwienia, a raczej ich brak. – Nie wszyscy potrafią czytać alfabet Braille’a. Uważam, że powinno być podanych więcej informacji w audio formacie – przyznaje Natalia. To bardzo ważny głos, który ukazuje realne potrzeby.

Istota wzroku

– 70% informacji, które odbieramy z otoczenia, otrzymujemy dzięki zmysłowi wzroku – mówi Natalia.

Wzrok odgrywa więc niezaprzeczalnie dużą rolę w naszym postrzeganiu świata. – Wzrok jest jednym z najważniejszych zmysłów dla mnie. Wpływa na takie rzeczy, jak poczucie bezpieczeństwa czy możliwości rozwoju. Myślę, że przez to, że widzę otaczający świat i kolory, nie umiałabym się przyzwyczaić do takiego braku – opowiada Zosia, księgowia. – Osoba niewidoma może mieć problemy z poruszaniem się czy czytaniem. Narzekamy często na swoje życie, a nie dostrzegamy, że ktoś, kto jest w tak trudnej sytuacji, nie załamuje się, tylko stawia czoła wyzwaniom. Są to osoby bardzo dzielne i mają w sobie dużo siły, by to udźwignąć – dodaje.

Opinie osób, które postrzegają świat za pomocą wzroku, także są bardzo cenne w tym temacie. – Moim zdaniem osoby niewidome mierzą się z wieloma trudnościami w codzienności. Nie jestem w stanie sobie wyobrazić tego, co czują, ale jestem pełna podziwu dla ich walki z bezwzględną rzeczywistością – mówi Olga, studentka dziennikarstwa i komunikacji społecznej – Nie potrafię wyobrazić sobie mojego życia bez wzroku. Po prostu – kwituje. Różne osoby inaczej spoglądają na tę kwestię. – Potrafię sobie wyobrazić, że życie osób niewidomych jest pełne wyzwań, chociażby przemieszczanie się w większym mieście może być niezwykle problematyczne. Niestety nie wszędzie dba się o przysto-

sowanie miejsc dla osób niewidomych, więc np. podróż tramwajem czy metrem może być niebezpieczna – zauważa Wiktoria, studentka dziennikarstwa i komunikacji społecznej.

Pomoc na wagę złota

Czasami mamy okazję pomóc komuś, kto znajduje się w trudnej sytuacji. – Kiedyś pomagałam osobie niewidomej wejść do tramwaju, chyba w zeszłym roku. Na pewno nie należy z zaskoczenia chwycić takiej osoby i jej prowadzić. Warto zapytać, czy potrzebuje pomocy. Poinstruować, że przykładowo znajdują się trzy stopnie i zaproponować, że poda się rękę, by wspomóc – opowiada Olga. – Wiadomo, że włącza mi się odruch pomocy takiej osobie, ale warto pamiętać, że dobrze jest traktować te osoby na równi z nami. Kiedy potrzebują pomocy, to chętnie pomogę, jednak mam z tyłu głowy, że część osób chce starać się być niezależnym – dodaje. Przelamuje to stereotyp, że młodzi ludzie są obojętni i boją się pomagać. A podobnych przykładów jest więcej. – Kiedyś widziałam pod moim domem panią z białą laską, która ewidentnie szukała adresu, ale nie mogła się odnaleźć. Spytałam, czy może potrzebuje pomocy. Zaprowadziłam ją pod właściwy adres, chwytając ją pod ramię – relacjonuje Zosia. Kolejna historia też jest bardzo inspirująca. – Byłam kiedyś na wystawie, która polegała na tym, że przemieszczaliśmy się w całkowicie ciemnym pomieszczeniu imitującym dom, a naszym przewodnikiem była osoba niewidoma. Dowiedziałam się wtedy, że niewidomi z wykorzystaniem różnych specjalnie do tego przystosowanych przedmiotów mogą radzić sobie z codziennymi obowiązkami, dodatkowo zostało nam zaprezentowane m. in. urządzenie, które odczytywało kolory – opowiada Wiktoria.

Osoby niewidome przez swój problem ze wzrokiem mają utrudnioną adaptację do panujących wokół nich warunków. Jednakże są odważne i nie poddają się, dzielnie pokonując przeciwności losu. To niesamowite, jak dobrze mogą się nauczyć funkcjonować, i wartościowe, że chcą dzielić się swoim doświadczeniem z innymi, chociażby dzięki Niewidzialnej Ulicy.

Agnieszka ŁUKASZEWSKA
agnluk7@st.amu.edu.pl



Podsumowanie
polityczne 2024
s. 2

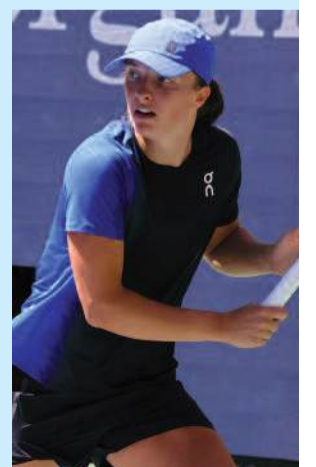
Polecamy



Recenzja „Vaiana 2”
s. 4



Kilka słów o Erasmusie
s. 6



Iga Świątek
na nowej drodze
s. 8

Od redakcji

Kochani Czytelnicy!

Ledwo się obejrzelśmy, a nastał już grudzień, a wraz z nim ostatni w tym roku numer BUCa. Tym razem, zgodnie z zapowiedziami z poprzedniego numeru, możecie poznać nowych redaktorów. Mam nadzieję, że przyjmiecie ich ciepło, a ich teksty przypadną Wam do gustu. Nie zabrakło też oczywiście tekstów stałych członków redakcji.

I tak, w tym numerze Weronika podsumowuje najważniejsze wydarzenia polityczne 2024 roku, Jaśmina przybliża działanie łowców duchów, a Mateusz rozmawia z prof. Szczyszkim o trendzie na nieltumaczenie tytułów książek. Do kulturalnego świata zabierają nas Jędrzej, Karolina, Wiktoria i Laura – pisząc o ostatnich premierach kinowych i teatralnych. Jeżeli rozważacie wymianę studencką, warto spojrzeć na szóstą stronę, na której Amelia przybliża temat Erasmusa. A na ostatnich stronach standardowo znajdziecie tematykę sportową – tym razem przygotowaną przez żeńskie grono redaktorek: Adę, Olę i Klarę. Z racji zbliżających się świąt w imieniu całej redakcji BUCa chciałabym życzyć Wam wesołych i spokojnych świąt. Odpocznijcie i zbierajcie siły, aby w nowy rok wejść pełni energii do działania – ze świeżymi pomysłami i motywacją!

Redaktorka naczelna
Izabela Tomaszewska



Redaktor miesiąca



Klara KUCZA

Hej, jestem Klara. Studiuję – niestandardowo jak na BUCa – filologię szwedzką. W gazecie zajmuję się głównie korektą artykułów, co sprawia mi dużą przyjemność. W wolnym czasie oglądam różne zawody sportowe, w tym tenisa, któremu poświęciłam mój najnowszy artykuł. Moimi ulubionymi zawodnikami tenisowymi są Iga Świątek i Jannik Sinner.

Świat płonie

Rok 2024 zapisze się na kartach historii jako czas intensywnych zmian politycznych, eskalacji konfliktów i kluczowych decyzji wpływających na globalny układ sił. Przez świat przetoczyła się fala wyborcza, obejmująca ponad 60 państw, będących domem dla prawie połowy populacji kuli ziemskiej. Konflikty zbrojne na Ukrainie i w Strefie Gazy nieprzerwanie trwają, działania zbrojne się nasilają, wrogość narasta, a wraz z nią poczucie bezkarności i możliwości lekceważenia prawa międzynarodowego.

Tegoroczny kalendarz wyborczy otworzyły styczniowe wybory prezydenckie na Tajwanie. Zwycięzcą został Lai Ching-te z Demokratycznej Partii Postępu (DPP), która wygrała też odbywające się równolegle wybory parlamentarne. Lai zadeklarował utrzymanie status quo w relacjach z Pekinem, a wyniki utrwaliły napiętą dynamikę pomiędzy krajami. W styczniu doszło także do największej wymiany jeńców między Ukrainą i Rosją od początku wojny – do Ukrainy wróciło 230 pojmanych w zamian za 248 rosyjskich żołnierzy. Natomiast w regionie Morza Czerwonego Egipt mierzył się z atakami rebeliantów Huti na statki przepływające przez Kanał Sueski. Działania grupy, trwające od listopada poprzedniego roku, wywołały poważny kryzys, zmniejszając przepływ jednostek o około 40%. Z kolei w Polsce szereg echem odbiły się aresztowania Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika.

Rozsypane zboże i rosyjska demokracja

W lutym na siłę zyskały protesty rolników. Traktory i kombajny zablokowały drogi wielu polskich miast. Było to następstwo decyzji Komisji Europejskiej związanej z przedłużeniem bezcłowego importu produktów rolnych z Ukrainy do 2025 roku. Już i tak napięte relacje polsko-ukraińskie zostały zaognione z powodu rozsypania zboża ukraińskiego w pobliżu punktu kontrolnego Dorohusk-Jagodzin i wyrzucenia ok. 180 ton ukraińskiej kukurydzy z wagonów kolejowych.

Marcowe „pseudowybory” prezydenckie w Rosji zakończyły się triumfem Władimira Putina, z rekordowym wynikiem 87,3% i frekwencją najwyższą w historii. Można je uznać za najbardziej sfałszowane wybory od czasu powstania Federacji Rosyjskiej.

W kwietniu Polacy ruszyli do urn wyborczych, aby zagłosować w wyborach samorządowych. Największe poparcie w skali kraju zyskało Prawo i Sprawiedliwość z wynikiem 34,27%, a drugie miejsce zajęła Koalicja Obywatelska (30,59%). Równocześnie z Polakami głosowali nasi południowi sąsiedzi. Słowacy wybrali nowego prezydenta – Petera Pellegriniego – z powodu czego władzę otrzymał obóz lewicowo-narodowy. Na Bliskim Wschodzie w tym miesiącu doszło do eskalacji – 1 kwietnia izraelskie lotnictwo uderzyło w irański konsulat w Damaszku. W odpowiedzi dwa tygodnie później Iran dokonał bezprecedensowego nalotu na Izrael. Ostrzał przy użyciu różnych środków ataku powietrznego miał charakter zarówno symboliczny, jak i polityczny.

Katastrofy, głosowania, przewroty

W maju sceną polityczną wstrząsnęła wiadomość o śmierci prezydenta Iranu, Ebrahima Raisi, który zginął w katastrofie helikoptera niedaleko granicy z Azerbejdżanem.

Wraz z początkiem czerwca zakończyło się największe demokratyczne głosowanie na świecie – wybory parlamentarne w Indiach, w których uprawnionych do głosowania było blisko 970 milionów obywateli. Wybory potwierdziły żywotność i sprawność indyjskiej demokracji. W czerwcu przeprowadzono głosowanie także w państwach Unii Europejskiej. We Francji nacjonalistyczne ugrupowanie Le Pen uzyskało w wyborach do Parlamentu Europejskiego zawrotny wynik 31,5%, co spowodowało rozwiązanie parlamentu przez Emmanuela Macrona. W czerwcu w Kanadzie przywódcy G7 spotkali się, aby omówić kwestie globalnego bezpieczeństwa.



2024: Rok decyzji i wyzwań w polityce

W lipcu oczy całego świata zwróciły się ku USA, gdzie miało miejsce wiele ważnych wydarzeń. W tym miesiącu odbył się szczyt NATO w Waszyngtonie, doszło do zamachu na Donalda Trumpa, a Kamala Harris zastąpiła Joe Bidena w walce o fotel prezydencki. Równocześnie odbywały się wybory parlamentarne w Wielkiej Brytanii, zakończone bolesną porażką Partii Konserwatywnej, która po 14 latach rządów przeszła do opozycji z najmniejszą liczbą mandatów w historii partii.

Trwające od początku lipca zamieszki studenckie w Bangladeszu zakończyły się wraz z nadejściem sierpnia (i upadkiem rządu), a premier Szejk Hasina uciekła do Indii. Europa wstrzymała oddech, lecz nie ze względu na przewrót polityczny w Dhace, a z powodu ofensywy ukraińskiej armii w obwodzie kurskim.

Niepokój w Lewancie

W dziewiątym miesiącu politycznego kalendarza miały miejsce największe w historii antyrządowe manifestacje w Izraelu. W Tel Awiwie na ulice wyszło pół miliona Izraelczyków. Natomiast w Nowym Jorku odbyła się 79. sesja Zgromadzenia Ogólnego ONZ.

Pierwszego października rozpoczęła się inwazja Izraela na Liban, nazywana też III wojną libańską. Jej deklarowanym celem było zniszczenie infrastruktury wojskowej Hezbollahu. Na drugim froncie dochodziło do dalszej eskalacji konfliktu oraz wzajemnego ostrzału Izraela i Iranu. Potwierdzone zostały doniesienia o skierowaniu żołnierzy Korei Północnej do Rosji. Z kolei w Gruzji odbyły się wybory parlamentarne, uznawane za sfałszowane.

Nadejście listopada oznaczało wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych. W ogromnych emocjach, kumulujących się w przeciągu poprzednich miesięcy, wyłoniono przyszłą głowę państwa. Wraz ze znaczącą przewagą elektorów po stronie Partii Republikańskiej stało się faktem, że 20 stycznia 2025 r. zaprzysiężony zostanie Donald Trump. Za to w Polsce ogłoszeni zostali kandydaci na prezydenta: wyłoniony w prawyborach Rafał Trzaskowski oraz niezależny kandydat popierany przez PiS Karol Nawrocki, a także Szymon Hołownia, Sławomir Mentzen i Marek Jakubiak. U naszych zachodnich sąsiadów, w atmosferze konfliktu, głośno upadł rząd Olafa Scholza. Pod koniec listopada podpisany został rozejm między Hezbollahem a Izraelem. Zawieszenie broni nie trwało jednak długo i już dzień później doszło do naruszenia układu z obu stron.

Ostatnia kartka kalendarza

W grudniu na scenie politycznej będziemy obserwować niesłabnące protesty w Gruzji, spowodowane zamrożeniem negocjacji akcesyjnych z Unią Europejską. Zaogniona sytuacja będzie się dynamicznie zmieniać na Bliskim Wschodzie, przede wszystkim w Syrii, gdzie rebelianci weszli do kolejnej prowincji i opanowali większość miasta Aleppo.

Mija z pewnością intensywny rok, a zestawienie wszystkich znaczących wydarzeń pozostawia gorzki posmak. Wydawać by się mogło, że nie tylko Bliski Wschód, lecz cały świat płonie. W obliczu kolejnych konfliktów, wielu nawet niewspomnianych, potrzebne będą nowe rozwiązania, nowe inicjatywy. Współczesny świat i jego liderzy stoją przed kolejnymi wyzwaniami, a odpowiedzi na nie nie są proste i nie przyjdą łatwo.

Weronika RYBACKA
werryb3@st.amu.edu.pl



Wydawca
Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa
Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza
w Poznaniu
ISSN 1642-1140
Redakcja
Wydział Nauk Politycznych
i Dziennikarstwa, ul. Umultowska 89a,
pokój 144, 61-614 Poznań
e-mail: teksty.buc@gmail.com

Redaktor naczelna
Izabela Tomaszewska
Zastępca redaktora naczelnego
Agnieszka Łukaszewska
Sekretarz redakcji
Agnieszka Łukaszewska
Numer makietowała
Izabela Tomaszewska
Wydawca numeru
Izabela Tomaszewska

Redakcja merytoryczna:
Jakub Marciński
Jędrzej Wróblewski
Amelia Ogrodowczyk
Filip Szymkowiak
Redakcja:
Sofya Baran
Anna Bielecka
Zuzanna Borak

Natalia Borodkina
Mateusz Chojnowski
Paulina Cichoszewska
Joanna Dąbrowska
Jacek Dobiański
Benita Dolniak
Wiktoria Duda
Łukasz Grabia
Weronika Grochałska
Dominik Janicki

Dominika Jerzak
Wiktoria Jesionka
Weronika Józwiak
Bartosz Kabaciński
Mateusz Kalmuk
Stanisław Karalus
Weronika Karnabol
Jagoda Kasprzyk
Igor Kępiński
Serhii Khodieiev

Wiktoria Konieczna
Karolina Korkosz
Olga Kregielska
Natalia Król
Karolina Kubiak
Klara Kucza
Kajetan Kuszak
Olga Lipińska
Igor Listopad
Agnieszka Łukaszewska

Agata Mania
Jakub Marciński
Jan Mazurczak
Olga Michalska
Amelia Ogrodowczyk
Anna Pajchrowska
Ines Przybył
Laura Przybył
Yelizweta Rayetskaya
Weronika Rybacka
Jaśmina Skrobańska

Milena Spiralska
Alicja Sugier
Filip Szymkowiak
Izabela Tomaszewska
Anastasiya Trafimuk
Mikita Tsiabus
Magdalena Walczak
Ada Wójcik
Wiktoria Wójkiewicz
Jędrzej Wróblewski

Michał Wybrański
Olivia Zajkowska
Korekta:
Paulina Cichoszewska
Wiktoria Duda
Weronika Jesionka
Weronika Karnabol
Klara Kucza
Kajetan Kuszak

Ada Wójcik
Wiktoria Wójkiewicz
Social media:
Natalia Borodkina
Dominika Jerzak
Weronika Karnabol
Jagoda Kasprzyk
Wiktoria Konieczna
Karolina Korkosz
Natalia Król

Olga Lipińska
Anna Pajchrowska
Yelizweta Rayetskaya
Anastasiya Trafimuk
Magdalena Walczak
Ada Wójcik
Wiktoria Wójkiewicz
Olivia Zajkowska
Autor logo
Andrzej Szymczak

Opieka nad redakcją
Aleksandra Konieczna
Skład komputerowy
Tomasz Szukała
Druk
Drukarnia w Bydgoszczy
ul. Grunwaldzka 229
85-438 Bydgoszcz
Redakcja zastrzega sobie
prawo do redagowania
i skracania nadesłanych
tekstów.

Nie każdy wieczór jest dobry

Kreatywność losu nie zna granic. Najlepszym scenarzystą wszech czasów jest życie. Potrafi w tej samej historii zaszokować, rozczulić, rozbawić do łez i zdołować. W perspektywie ludzkiej nie każdy rodzi się z talentem tego kalibru. Nie każdy powinien też pisać sztuki.

Status teatru zmieniał się na przestrzeni wieków. Antyk budzi skrajzenia z obecnym w Helladzie katharsis. Widowisko miało pozwolić widowni na pozbycie się negatywnych uczuć. Chrześcijaństwo odcięło się od pogańskich korzeni. Wędrownie trupy odgrywały scenki z żywotów świętych. Następną wieki to czas człowieka. Jego słabości, namiętności, pragnień i pozycji w świecie. Trend ten trwa po dziś dzień. Zainteresowanie ludźmi nie słabnie. Zresztą, czy istnieje coś równie nam bliskiego? Coś, o czym wiemy tak samo wiele? Trudno się nie zgodzić, że jest to wdzięczny temat. Opowiedzieć historię – to jedno. Zrobić to dobrze – to drugie. „Dobry wieczór kawalerski” to sztuka, w której centrum znajduje się człowiek. Za pomysł odpowiada Dorota Truskolaska-Alibert, a za realizację Piotr Nowak.

Kawaler, nie kawalarz

Elitaryzm teatru jest passe. Coraz częściej można spotkać się z inicjatywami zachęcającymi do znalezienia się na widowni. Kultura pozostaje przecież dostępną dla każdego. Trzeba za nią zapłacić – to fakt – ale ceny biletów są w zasięgu większości portfeli. Przedstawienie nie jest zarezerwowane wyłącznie dla snobów i bufonów. Jego przekaz ma trafić do wszystkich odbiorców. Nikogo nie wyłącza się z rozrywki. Podejście godne wyróżnienia. Największym nemezis teatru jest bogata oferta i dostępność platform streamingowych. Te zaś są po brzegi wypchane treściami zorientowanymi na odbiorcę. Koncerny znają rynek, na którym działają. Podsuwają to, co będzie rozchwytywane, a nie to, co jakościowe.

Mniej odważni odpuszczają starcie. Ci, którzy chcą walczyć o swoje – podejmują wyzwanie. Żaden film czy serial nie ma takiej siły, jaką

DOBRY WIECZÓR KAWALERSKI

CZYLI NA DRUGĄ NÓŻKĘ

SPEKTAKL TWÓRCÓW „TRIATHLON STORY”



Milczenie jest złotem. Niektóre żarty w spektaklu nie powinny zostać wypowiedziane

ma odgrywanie scen na żywo. Uczucie towarzyszące byciu częścią wydarzeń, interakcje aktorów z publiką, atmosfera zaciemnionej sali. To tylko część elementów tworzących wspomnienia. Reżyser „Dobrego wieczoru kawalerskiego” pozostaje świadomy ich istnienia. Korzysta z nich. Stara się przekonać widzów do swojego pomysłu. Zaznacza, jak bliski jest każdemu z oglądających. Język, zachowanie, humor – wszystko to ma przekonywać o niewielkim dystansie.

Żartować można ze wszystkiego. Trzeba tylko wiedzieć, jak zrobić to dobrze. Sto dwadzieścia minut nieustających kawałów o seksie, pijaństwie i utracie sensu życia po ślubie. To koncepcja zapropono-

wana na scenie. Można się śmiać. Nie wiadomo tylko, czy z treści, czy z poziomu dowcipu. Przesyt następuje już po chwili od rozpoczęcia spektaklu. Dowód na to, że pozbawiony słów balet jest najbezpieczniejszą spośród opcji dostępnych reżyserom.

It's a Man's Man's Man's World

Obsada składa się z samych mężczyzn. Nie powinno to nikogo dziwić. W końcu sztuka przedstawia historię pewnego wieczoru kawalerskiego. Oprócz przyszłego męża w mieszkaniu pojawia się trzech kolegów, nieco starszych od protagonisty. To wcale nie oznacza, że mają oni większe doświadczenie życiowe. Z wyjątkiem jednego z nich. Ten zaś nieustannie podnosi do ucha telefon. Jest zobowiązany składać małżonce raport z tego, gdzie jest i co robi. W wyniku nieporozumienia do grona bohaterów dołącza Miki. Okazuje się, że ogłoszenia zamieszczane w sieci potrafią być zwodnicze. Zamówiona striptizerka jest... mężczyzną. W żadnym calu nieprzypominającym kobiety.

Panowie rozprawiają o tym, co jest bliskie ich sercom. Motoryzacja, ornitologia, niszowe kino – to wdzięczne tematy do rozmów. Najsilniej na wyobraźnię działają opowieści o wieczorach panińskich. Nieznajomość któregoś z zagadnień nie stanowi przeszkody. Pierwszy z gości przynosi ze sobą obszerną torbę. Dźwięk objającego się o siebie szkła zdradza jej zawartość jeszcze przed opróżnieniem. Oczywiście, że banda dorosłych samców nie jest w stanie dobrze się bawić bez morza wódki. Szybko odkrywają wspólny język. Główna motywacja zaproszonych to odwiedzenie zaręczonego od wzięcia ślubu. Wysiłek trwający całą noc daje skutki nad ranem. Objawia się w słowach: „Nie chce mi się. Po prostu nie pójdę”.

Nie każdy tekst kultury musi zostać w pamięci na stałe. Część z nich nie zasługuje na to, by być w niej na dłużej. Powodów jest mnóstwo. Wystarczy powiedzieć, że istnieją takie, które mają dużo więcej do przekazania. Są o ligę czy dwie wyżej. Spektakl wyreżyserowany przez Piotra Nowaka nie należy do zaszczytnego grona najlepszych. Sam pomysł zawiera w sobie potencjał na dobre przedstawienie. Realizacja pozostawia jednak wiele do życzenia. To cenna lekcja. Zarówno dla widzów, jak i dla autorów.

Jędrzej WRÓBLEWSKI
jedwro1@st.amu.edu.pl

Dynamika kobiecości

Jak współcześnie ucieleśnia się feministyczne głosy w sztuce? Ekspertyza przybiera różne kształty, jednak w balecie może dotyczyć podkreślania siły wrażliwości, ukazywania delikatności nie jako słabość, a potencjału. Przykładem takiego spojrzenia na kobiecość jest premiera baletowa Teatru Wielkiego w Poznaniu „nie upilnuje nas nikt”, która po raz pierwszy przedstawiona została widzom w mikołajkowe, piątkowe popołudnie.

Tytuł spektaklu stanowi swoistą przeróbkę nazwy zbioru wierszy Zuzanny Ginczanki „Nie upilnuje mnie nikt”. Z perspektywy indywidualnego, lirycznego „ja” nieupilnowanie staje się tu jednak kolektywne, organiczne – ruch wymaga przecież sam w sobie pracy wielu bytów, drżących jednostek fizycznych, biochemicznych... ludzkich. Wysiłku zbiorowego. O sens trudów tworzenia, lęk przed (nie)istnieniem i niepowodzeniem czynienia pyta poetka w jednym ze swoich wierszy „Przebudzenie”: „Na co komu wysiłek naszego tworzenia, / jeśli nic nie nastąpi?”. W spektaklu następuje natomiast wiele. Jakimi chwytami połączone zostały dialogi z cząstkami kobiecości? Próbowałam uchwycić roztańczoną odpowiedź na problem, ukradkiem siadając na jednym z siedzeń widowni, gdy przede mną rozgrywało się widowisko prób do drugiego i trzeciego aktu baletu.

Czy to rdzeń?

Godzina dwudziesta we wtorek, na widowni operowej towarzyszy mi jedynie swojskie grono wytrwale szykujących się do premiery pracowników. Gasną światła – rozpoczyna się pierwsza próba na Dużej Scenie. Oczom obserwujących ukazuje się skąpany w rdzawym blasku splot, wyglądający jak drzewo lub korzenie. Drugi akt, zatytułowany „Self”, jest jednak o organiczności nie natury, ale (o)środku psychicznego i środowiska na nie wpływającego. Ludzi – to korzenie – skojarzyłam w indywidualnym doświadczeniu z czasem i drzewem (kosmogonicznym), natomiast w zamyśle autorskim mówią oni o jedności, a raczej jednościach. Jakich? Dowiedziałam się od Katarzyny Kozielskiej, choreografki odpowiedzialnej za piękno omawianej części spektaklu.

– Inspiracją dla tego fragmentu były trudne sytuacje; nasze bóle, z których wyrasta piękno przemian. Ze składającego się na całość scenografii rdzenia (core) wychodzą ludzie, którzy tworzą nas – naszą rzeczywistość, nasz świat. Z czasem jednak wśród nich znikamy. Symbioza zachodząca między ja-my-oni sprawia, że wyrazistość naszych cech, potrzeb i oczekiwań się rozmywa. I co wtedy? Pojawia się potrzeba oczyszczenia. Narastająca, wzmagająca się. Dorasta się do niej w obliczu przełomu, uświadomienia sobie straty własnej indywidualności. I nastaje moment uświadomienia sobie, że życie staje się lepsze poprzez usuwanie – opisuje choreografka.

Wiele wymiarów zmiany

Zmiana jest dominantą samorozwoju, który zazwyczaj wiąże się z odejściem od tego, co nam szkodzi. Często nie służy nam to, do czego jesteśmy przywiązani, co sprawia, że okres odpuszczania jest niczym detoks czy odwyk. – To najcięższy i najwspanialszy czas. Czasem zadaję sobie pytanie – czy było to potrzebne? – mówi o swojej życiowej inspiracji choreografka. – Widzę jednak, jak jest lepiej. Nie można zmienić ludzi, ale można zmienić ludzi – dodaje.

Przez kilkanaście sekund nie byłam pewna, co znaczy to zdanie, aż dotarło do mnie porażająco doskonale znaczenie powtórzenia. Tego oczyszczenia. Usuwania. – Zostawienie ludzi, którzy kierują naszym życiem. Powrót do siebie – wskazuje Katarzyna Kozielska. W takim procesie paradoksalnie pomagają czasami samotność – w której znaleźć można wytchnienie, wynikające z oczyszczenia. W spektaklu wskazany moment pojawia się na samym końcu, powrót do siebie jest tu procesem wymagającym, ale niezwykle pięknym, pełniącym funkcję końca początku. Jest zaproszeniem do kolejnego aktu sztuki życia.

Z prochów – co następuje?

„Ashes to ashes, dust to dust...” (z prochu powstałaś, w proch się obrócisz) – tradycyjna, biblijna sentencja przychodzi na myśl, gdy w ostatnim akcie spektaklu w spowitej dymem przestrzeni pojawia się dynamiczny splot biegu, upadków, niejako bolesnych ruchów. A po nim: niepokojące pianino i uboga, powiewająca scenografia składająca się z rozszarpanych szmatek, skrawków materiału i synchronicznie asynchroniczna choreografia. Choreografka Anne Jung wiąże jednak swój zamysł z po-



Jak ruch może wyrażać ideę i wrażliwość?

czątkami, które wydają się stanowić doskonałą kontynuację aktu „Self”. Jest to w końcu novum wzrastające z pożogi. Tutaj odnajdywanie siebie po tragedii jest kolektywizmem, siłą bliskości odnalezioną w czasach, które można kojarzyć z bezradnością. Ostatecznie z dymu wyłania się jednak grupa odnajdująca wspólny rytm. W tym akcie odbudowa po oczyszczeniu ogniem wydaje się kolejną inicjacją, aktem sprawczości odnalezioną w wspólnocie.

Z prochów wyłonić się może wiele – chociażby światło. Dla Katarzyny Kozielskiej jest tym jej córka, której obecność sprawia, że jej światło, płynące z core, nie wygasło. Promienie oświeceń, które spektakl wprowadza w życia widzów, nie mogą być jednak w pełni uniwersalne, pozostawiają szczeliny na indywidualne drżenie dusz.

Przywołajmy raz jeszcze „Przebudzenie” Ginczanki: „Patrząc w gwiazdy. Rozumiem. I płonę z zachwytem”. Doświadczenie spektaklu baletowego nie jest okazją, aby patrzeć w gwiazdy, a jedynie na pochodne im atomy, konstytuujące ludzkie ciała. Mimo to są one zdolne do tworzenia poruszających swoją treścią gestów i ruchów, dzięki którym zachwyty rozpromienia twarze. Patrząc, zaczyna się rozumieć, po co płonąć – i dla jakiego zachwyty.

Karolina KORKOSZ
kargol7@st.amu.edu.pl

Żądna przygód Vaiana, śladem historii przedstawionej w pierwszej odsłonie filmu, zabiera nas w kolejną podróż, która jest kontynuacją jej dotychczasowych zmagania. Tym razem nie jest to zadanie indywidualne. Nad wyraz odważna bohaterka musi dopuścić do siebie konieczność uzyskania pomocy ze strony innych. To nie jedyna kwestia, którą musi zaakceptować. Czekają ją potrzeba zrozumienia, że czasami warto się zgubić, aby w końcu odnaleźć drogę do upragnionego celu. Kolejna odsłona jednej z głośniejszych produkcji Disneya znów pokazuje nam moc niezwykle istotnych wartości. Wszystkie okraszone przyjemnym dla oka i ucha, często zabawnym, a momentami nawet śmiertelnie poważnym, animowanym anturazem.

Druga odsłona historii odważnej mieszkanki Motonui, w kontraście do pierwszej części, w której to postawiono mocny nacisk na niezależność oraz indywidualizm, pokazuje nam istotę wspólnoty i momentów słabości. Poruszone zostały więc aspekty możliwe do bardziej adekwatnego przełożenia na realne życie. Obalają one wyidealizowany obraz rzeczywistości, do którego tak często nawiązują pojawiające się na wielkich ekranach animacje. Wszystko to dobitnie wdiera się do umysłu odbiorcy za pośrednictwem, tym razem nieco odmiennie – ze względu na innego autora – warstwy muzycznej. Uwydatnia ona owe kluczowe wartości i zdecydowanie nie pozwoli na szybkie puszczenie ich w niepamięć, gdyż można zaryzykować stwierdzenie, że pionierki dołączają do najbardziej znanych hitów Disneya.

W grupie siła

Zdecydowanie warta uwagi jest podkreślona w filmie istota działania w grupie, która charakteryzuje się tak wielką siłą, że nawet samo bóstwo dostrzegło w niej zagrożenie. Poruszenie tego aspektu zasługuje na szczególne uznanie przede wszystkim ze względu na obecne czasy, będące efektem minionej pandemii, która to odizolowała od siebie ludzi i doprowadziła do destrukcyjnych skutków społecznych. Historia opowiedziana w „Vaianie” pokazuje nam, że najsilniejsi jesteśmy stanowiąc część wspólnoty, co świetnie nawiązuje do twierdzenia Arystotelesa, mówiącego o tym, że człowiek jest istotą społeczną, a zatem do prawidłowego funkcjonowania potrzebuje innych jednostek.

Przedstawiona w filmie podróż jasno pokazuje, że ludzie nie są idealni i nie mogą osiągnąć wszystkich umiejętności, dlatego do osiągnięcia celów potrzebni są im współtowarzysze. Bez nich nie ziściłby się cel przyświecający głównej bohaterce animacji. Jedynie zróżnicowana pod względem charakteru i zdolności, uzu-

Podróż po człowieczeństwo



Różni a jednak tacy sami

pełniająca się nawzajem grupa mogła przetrwać wszystkie napotkane na drodze kryzysy i finalnie dotrzeć do docelowego punktu wyprawy. Kluczowa jest tutaj również kwestia wsparcia, którą uwydatniono za pośrednictwem chociażby „darmowej sesji coachingowej” z półbogiem Mauiem czy naprawy łodzi przez załogę Vaiany. Oba te czyny wsparły młodą podróżniczkę na duchu, dając jej motywację do działania. Podkreśla to fakt, iż wsparcie drugiego człowieka jest najlepszą formą terapii i okazuje się niezbędne do jego prawidłowego funkcjonowania w świecie.

Czasami warto się zgubić

Niezależność Vaiany emanująca w pierwszej części filmu została poddana także próbie bezsilności, co także ma bardzo pozytywny wydźwięk. W tym przypadku znów dobitnie ukazano prawdziwe człowieczeństwo głównej bohaterki, która od po-

czątku była kreowana na nieustraszoną i bezbłędną odkrywczynię. Twórcy pokazują nam, że życie nie zawsze idzie w parze z oczekiwaniami, a na swojej drodze możemy napotkać wiele podcinających nam skrzydła przeszkód. Jednak zgubienie się nie musi być złe, gdyż może wskazać nam upragnioną drogę do celu, tak jak głównej bohaterce filmu. Często bowiem mamy różne plany, których nieustannie się trzymamy, tracąc tym samym ogład sytuacji i przestając myśleć kreatywnie.

Chwila bezsilności, która staje się momentem odpoczynku od gonitwy, może otworzyć nam oczy i pozwolić na bardziej nieszablonowe rozwiązania. Chwile wątplenia Vaiany pokazują nam również, że nawet osoba kreuująca się w naszych oczach na prawdziwie idealną jest po prostu człowiekiem i tak jak wszyscy ma słabsze momenty. Wątek ten świetnie nawiązuje chociażby do obecnej ery mediów społecznościowych, które tworząc fałszywy obraz rzeczywistości, często ukazują ludzi jako istoty nieskazitelne. Czym to skutkuje? Wprawia ludzi w różnego rodzaju kompleksy i powoduje, że zapominają o tym, co jest naprawdę ważne w życiu.

Na fali

Druga odsłona animacji zaprezentowała się na naprawdę ambitnym poziomie. Widoczne są oczywiście pewne niedociągnięcia, takie jak chociażby ogromna liczba nierozbudowanych wątków wynikająca prawdopodobnie z pierwotnego planu wypuszczenia „Vaiany” w formie serialu. Mimo wszystko oprawa muzyczna, mistrzowskiej klasy animacja, świetne postacie i przede wszystkim wartości płynące z filmu utrzymują go na wysokim poziomie, nie odstając znacznie od pierwszej części. Bardzo optymistyczny jest również fakt, że wspomniane wartości dotrą do ogromnej publiczności dzięki powszechnemu uwielbieniu produkcji, co zauważalne jest już na bazie pierwszych danych box office'owych.

Wyraźnie odznaczające się ucłowieczenie głównej bohaterki oraz istota wspólnoty będą mogły zostać dostrzeżone i poddane refleksji przez wielu wciąż cierpiących na skuteczną izolacji, w jakiej przyszło nam jeszcze do niedawna funkcjonować, czy zmagających się z ciężarem wyidealizowanego życia narzucanego przez media społecznościowe. Warto więc dobitnie podkreślić, iż dzięki nowej odsłonie „Vaiany” możemy dostrzec prawdziwą istotę człowieczeństwa, którą na co dzień często odkładamy w zapomnienie, zamiast czerpać z niej jak najwięcej i osiągać wszystko, czego tylko zapagniemy. Z kolei cała otoczka ujmująca owe wartości zdecydowanie nie powinna rozczarować żadnego odbiorcy, gdyż fala, na której płynęła pierwsza odsłona animacji, nie ma zamiaru opadać.

Wiktorija JESIONKA
wikjes@st.amu.edu.pl

Ghostbusters w prawdziwym życiu

Ludzi od zawsze zastanawiał temat życia po śmierci. Co nas czeka? Gdzie się znajdziemy? Czy ktoś tam z nami będzie? Od Dantego i „Boskiej komedii”, przez Bułhakowa i „Mistrza i Małgorzatę”, po poezję Leśmiana zaświaty były i są popularną tematyką dzieł literackich oraz częstym obiektem rozmyślań filozoficznych. Co jednak gdyby ktoś potrafił odpowiedzieć na pytania zadawane od wieków? Może da się empirycznie udowodnić, a nawet naukowo zbadać sprawę, która zajmowała filozofów przez ostatnie tysiąclecia? Niektórzy wierzą, że takie zdolności mają łowcy duchów (ghost hunters) – ludzie, którzy zawodowo zajmują się poszukiwaniem wykrywaniem zjawisk paranormalnych.

Zajęcie, dziś kojarzone zazwyczaj z filmową komedią „Pogromcy duchów” z 1984 roku, istnieje naprawdę już od wielu lat, a jego wykonawcy wciąż znajdują coraz to nowe sprawy, w których podejmują interwencje. Pogromcy z realnego świata nie zdobyli tak wielkiej popularności, a ich działania nie są tak efektowne jak te na kinowym ekranie. Nie łapią, co prawda, duchów w metalowe puszkę, nie mają miotaczy protonów ani nie gromadzą złapanych istot w ścianach, ale nie zmienia to faktu, że ich praca jest bardzo ciekawa i skomplikowana. W tym temacie wypowiedzieć się mogą twórcy kanału OtherSide TV, którzy codziennie zmagają się z paranormalnym światem.

Kim są łowcy duchów?

Przez lata metody łowców duchów zmieniały się wraz z rozwojem technologii i zmianą mentalności, jednak cel ich działań pozostaje taki sam – poszukiwanie zjawisk paranormalnych, badanie ich, a w pewnych przypadkach także ich zwalczanie. – Zainteresowanie nawiedzonymi miejscami i zjawiskami paranormalnymi wynikało z chęci odkrycia tajemnic, które wydają się wykraczać poza znane nam prawa natury – mówi przedstawiciel OtherSide TV na pytanie o motywację do stworzenia kanału. – To fascynacja tym, co niewyjaśnione, połączona z wiarą, że każdy fenomen kryje w sobie odpowiedzi na głębsze pytania o naszą egzystencję, duszę i świadomość – tłumaczy. Łowcy duchów to zatem ludzie lub grupy osób, które zawodowo bądź też z zainteresowania właśnie tym się zajmują. Ich motywacje są różne, tak samo jak sposób działania i zakres przekazu informacji o swoich doświadczeniach.

Ludzie zajmujący się badaniem zjawisk paranormalnych łączą swoją fascynację historią tajemniczych miejsc z ich eksploracją, dzięki czemu wiążą sferę duchową z prawdziwymi wydarzeniami z przeszłości. Najważniejszymi powodami ich działalności są chęć pomocy ludziom, którzy nie potrafią poradzić sobie z nowym niebezpieczeństwem, potrzeba głoszenia swojej prawdy o świecie poza życiem, ale także uformowanie własnego zdania na temat zaświatów. – Celem jest odkrywanie prawdy o sferze duchowości i zjawiskach paranormalnych oraz ukazywanie ich w kontekście ludzkich emocji, historii i wierzeń. Chcemy inspirować do refleksji nad tym, co niewidzialne, ale obecne, zachęcając ludzi do otwarcia się na nowe możliwości zrozumienia świata. Nie wskazujemy nikomu dro-

gi, ani nie przekonujemy do swojej prawdy, chcemy jednak wzbudzić w ludziach ciekawość w poszukiwaniu odpowiedzi na najważniejsze pytanie: Co dzieje się z nami po śmierci? Pragniemy pokazać społeczeństwu, że świat jest dużo bardziej złożony, niż się nam wszystkim wydaje – mówi jeden z twórców kanału OtherSide TV.

Grupy w różny sposób zbierają informacje na temat swoich przyszłych interwencji. OtherSide TV posługuje się wieloma kanałami przekazu. – Informacje pozyskujemy z różnych źródeł – z rozmów z lokalnymi mieszkańcami, archiwów historycznych, opowieści przekazywanych z pokolenia na pokolenie, a także z raportów świadków zjawisk paranormalnych. Korzystamy również z książek, artykułów naukowych i forów skupiających entuzjastów tego tematu. Często intuicja lub (nie do końca dla nas zrozumiałe) prorocze sny Eweliny prowadzą nas do miejsc, które kryją w sobie coś wyjątkowego – mówi twórca kanału. Każdy ma też inny sposób działania, gdy znajdzie się na miejscu nietypowych wydarzeń. – Podczas badań posługujemy się kombinacją tradycyjnych i nowoczesnych metod. Ulubione narzędzia to Spirit Boxy, takie jak SB7 (które pozwalają nam usłyszeć drugą stronę), kamery termowizyjne, czujniki ruchu i EMF (detektory pola elektromagnetycznego). Wartością dodaną są jednak nasze osobiste doświadczenia, medytacja i empatia, które pozwalają na duchowe wycucie miejsca. Staramy się łączyć technologię z intuicją i bystrością umysłu, inspirowaną takimi postaciami literackimi, jak choćby Sherlock Holmes, tworząc całościowy obraz sytuacji – tłumaczy. Za pomocą dostępnych metod przeprowadzane jest śledztwo, podczas którego poszukiwacze znajdują ducha i nawiązują z nim kontakt. Bardziej doświadczone zespoły, ukierunkowane na pomoc osobom nękany w danych miejscach przez byty, podejmują próby pozbycia się istoty samodzielnie, przy udziale eg-

Nowe Roman Empire

Przez wielu fanów „Gladiator” jest uznawany za najlepszy film, który kiedykolwiek powstał. Trudno się dziwić, gdyż zdobył aż pięć Oscarów i stał się legendarnym hitem podziwianym przez widzów na całym świecie. I choć ma on idealne zakończenie, po ponad dwudziestu latach Ridley Scott postanowił wyreżyserować sequel swojego największego dzieła. Większość wielbicieli spodziewała się, że kontynuacja nigdy nie dorówna produkcji z 2000 roku. Czy te przewidywania się sprawdziły?

„Gladiator II” miał swoją premierę w Polsce 15 listopada. Film był wyczekiwany przez wszystkich, których ciekawiło, jak twórcy poprowadzą historię syna głównego bohatera Maximusa, Luciusa, i czy fabuła nie zostanie stworzona na siłę. No i niestety recenzje nie są zbyt pozytywne. Przede wszystkim sequel wywołuje wiele kontrowersji. Widzowie zarzucają twórcom wiele błędów, luk fabularnych i niezgodności historyczne. Ponadto scena końcowa sugeruje, że istnieje możliwość powstania kolejnej części.

Powrót do przeszłości

W sequele poznajemy historię młodego Luciusa, który żyje na wygnaniu w Numidii wraz ze swoją żoną. Niespodziewanie najezdzą ich rzymscy legionieści pod wodzą generała Marcusa Acaciusa. Niestety kobieta ginie, a mężczyzna zostaje pojmany. Pomimo bycia niewolnikiem planuje on zemstę. W trakcie pobytu w Rzymie zostaje wybrany gladiatorem i rozpoczyna walkę o wolność.

Fabuła jest dobrze skonstruowana, pojawia się wiele odniesień do pierwszej części, a nawet scen odtworzonych jeden do jednego. Pomimo wielu dość krótkich ujęć całość ma sens. Istnieje związek przyczynowo-skutkowy, przez co przyjemnie ogląda się film od samego początku aż do końca.

Film jest utrzymany w odpowiednim klimacie – akcja osadzona w starożytnym Rzymie. Podziwiając piękne, zdobione budowle i ich wnętrza, można poczuć, że towarzyszy się bohaterom w ich przeżyciach. Do tego znakomita muzyka – stworzona tym razem nie przez Hansa Zimmera i Lisę Gerrard, lecz Harry’ego Gregsona-Williamsa – potęguje efektywność poszczególnych scen. Warto także wspomnieć o strojach olśniewających bogactwem i przepychem, charakterystycznych dla starożytnej arystokracji. A jeśli chodzi o wydarzenia odbywające się w Koloseum, stoczone tam walki gladiatorów można uznać za ucztę dla fanów scen batalistycznych.

Jednak jest kilka aspektów, które są zbędne. Otóż – w przypadku efektów specjalnych, będących na wysokim poziomie, niestety w niektórych momentach twórców poniosła fantazja, gdyż dodali za dużo CGI (obrazów generowanych komputerowo), co wygląda niewiarygodnie. Mowa tutaj o rekinach pływających w Koloseum, a także krwiożerczych



Walka na śmierć i życie w starożytnym Rzymie

małpach wielkości człowieka, które wydają się nieodpowiednie do czasów historycznych. Już tygrys w pierwszej części był bardziej realistyczny, choć wtedy grafika całego filmu pozostawiała wiele do życzenia.

Występy godne pochwały

Obsada „Gladiatora II” nie zawiodła. Podobnie jak w pierwszej części możemy zobaczyć gwiazdy światowego kina, które znakomicie odegrały swoje role. Paul Mescal zaskakująco dobrze wykreował tytułowego gladiatora. Utrzymał na barkach ciężar głównego bohatera, tym bardziej że rzucono mu nie lada wyzwanie, gdyż jego poprzednikiem był Russell Crowe, przez wielu postrzegany jako jedyny w swoim rodzaju wojownik. Oczywiście u Mescala da się dostrzec podobieństwa do postaci Crowe’a, bo Lucius także dąży do sprawiedliwości i uratowania Rzymu, jednak nie jest on w tym aż tak przekonujący jak jego poprzednik. Można więc uznać, że Paul odnalazł się w tej jakże nietypowej dla niego roli, gdyż bezbłędnie ukazał emocje młodego gladiatora i nienagannie spisał się jako wybawca wiecznego miasta.

Następny wybitny występ zaliczył Pedro Pascal, grający dowódcę rzymskich legionistów – Marcusa Acaciusa. Świetnie poradził sobie z odegraniem z pozoru bezlitosnego i twardego wojownika, który w rzeczywistości ma miękkie serce i skrycie pragnie zakończyć krwawe podboje innych państw. Jego postać została idealnie wpleciona w akcję przez małżeństwo z Lucillą i dążenie do obalenia cesarza, przez co nie odnosi się wrażenia, że Pascal jest zbędny w fabule, wręcz można by rzec, że wniósł do niej oryginalność.

Jako jedna z nielicznych do starożytnego Rzymu powróciła Connie Nielsen w roli matki Luciusa i córki Marka Aureliusza. Swoją urodą i wdziękiem dodawała całości elegancji i spokoju, ponieważ była jedyną osobą, która nie ubiegała się o władzę, lecz pragnęła jedynie uratować swój dom przed zagładą. Jej występ można porównać do tego w pierwszej części i trzeba przyznać, że w obu filmach spisała się na medal.

zumienia świata, co daje nam głęboką satysfakcję, a za tym wszystkim idzie ogromna gratyfikacja w postaci wspaniałej społeczności, która jest w pełni zaangażowana i można by rzec, że aktywnie współtworzy ten projekt z nami. To dzięki ludziom mamy tak ogromne zaplecze sprzętowe i to właśnie tych ludzi zawsze z uwagą słuchamy i staramy się wszelkie sugestie wprowadzać w życie – mówi twórca kanału OtherSide TV.

Czy to jest legalne?

Wiele osób wychodzi z założenia, że polowanie na duchy to tylko dziecinna zabawa, hobby, które nie daje dalszych perspektyw. Nic bardziej mylnego. Zrzeszeni łowcy duchów, mający licencję wykonują całkowicie legalny i oficjalny zawód nazywany detektywem paranormalnym. Taka osoba musi mieć odpowiednie predyspozycje i kierować się w pracy etyką łowcy duchów. Na świecie istnieje wiele prywatnych szkół, które wystawiają licencję detektywa paranormalnego po szkoleniu teoretycznym w zakresie wiedzy o zjawiskach paranormalnych i szkoleniu praktycznym obejmującym obsługiwanie potrzebnego sprzętu.

Również w Polsce została utworzona taka szkoła dla detektywów paranormalnych, założona przez wcześniej wspomniane PTGH. Dostępne dla wszystkich są też sklepy ze specjalistycznym sprzętem, w których można dostać profesjonalne detektory i urządzenia. Jednak wlamywanie się na prywatne posesje i zwiedzanie nawiedzonych domów bez zezwolenia właściciela to wciąż poważne przestępstwo, którego nie usprawiedliwia licencja.

Popkulturowi łowcy

Wizerunek łowców duchów jest często ukazywany w kulturze popularnej. Pierwszym filmem, który ich przedstawiał,

Niespodziewanie złoćwincą w tej historii okazał się Macrinus grany przez Denzela Washingtona. Aktor popisał się swoimi umiejętnościami – wielu widzów sądzi, że to on zagrał najlepiej z całej obsady. Jego występ można uznać za fenomenalny, jednak czy rzeczywiście to on najbardziej wyróżnia się spośród innych? Zasiana przez niego intryga i stopniowe ujawnianie okrutnych zamiarów buduje napięcie i wprowadza wiele emocji podczas oglądania filmu, ale za szybko i zbyt łatwo przyszło mu zrealizowanie jego niecnego planu. Sposób myślenia Macrinusa – po trupach do celu – był genialny, ale nie przewidział on skutków takiego działania.

Ważnymi postaciami są także cesarze Geta i Karakalla grani przez Josepha Quinna oraz Freda Hechingera. Bliźniaki prowadziły krwawy terror w starożytnym Rzymie i czerpały rozrywkę z walk gladiatorów. Aktorzy musieli wcielić się w role dwóch psychopatów, którzy nie potrafili rządzić państwem. Ich występy były świetne, ale nie dorównali oni Joaquinowi Phoenixowi.

Dorównał poprzednikowi?

Jak wiadomo, większość widzów porównuje drugą część do pierwszej. Niektórzy nawet nie chcą obejrzeć sequela, bo – jak twierdzą – zepsuje on im spojrzenie na ideal z 2000 roku. Jednak czy naprawdę nie warto pójść do kina? Ridley Scott nie bez powodu zdecydował się na wyreżyserowanie kontynuacji. Różni się ona od swojej poprzednika i to jest chyba najlepszy powód, żeby ją obejrzeć.

Co prawda w filmie jest wiele odniesień do „Gladiatora”, ale to nie tak, że bazuje on wyłącznie na retrospekcjach. Wspomnienia niektórych wątków czy postaci są istotne, gdyż widz po tylu latach może nie pamiętać wszystkich szczegółów oraz relacji zachodzących między bohaterami. Właśnie te przypomnienia dodają całości nostalgii i są gratką dla najwierniejszych fanów, którzy kochają historię bohaterów walczących o dobro Rzymu.

Trzeba jednak wskazać na podobieństwa między dwoma filmami. Oczywiście sam wątek wprowadzenia Luciusa i zamordowania jego żony jest identyczny jak u Maximusa. Obydwaj planują zemstę oraz dążą do stworzenia sprawiedliwych rządów w państwie. Natomiast bohater Mescala pragnie śmierci Acaciusa, a postać Crowe’a chce zabić Kommodusa. Tak jak ojciec, syn walczy jako gladiator w murach Koloseum – zwycięża w każdej możliwej walce i staje się gwiazdą wielbioną przez lud. Pomimo tych podobieństw ich historie się różnią, a widz nie ma odczucia, że ogląda znów to samo. Przez to w pewnych aspektach druga część dorównuje pierwszej i nie można powiedzieć, że jest dużo gorsza.

Oczywiście istnieje kilka słabszych elementów, gdyż wiadomo, że ciężko przebić tak mistrzowski film, ale nie ujmują one atrakcyjności produkcji. Mimo wszystko „Gladiator II” zapisze się na kartach historii i zapewne zdobędzie międzynarodowe nagrody, a także rzeszę fanów, która będzie go ubóstwiać oraz oglądać w nieskończoność.

Laura PRZYBYŁ
lauprz4@st.amu.edu.pl

zorcysty lub z pomocą różnego rodzaju rytuałów. Ludzie poszukujący prawdy lub przygody skupiają się na udokumentowaniu swoich doświadczeń, by pokazać je światu.

Przemiany na przestrzeni lat

Pierwszym udokumentowanym łowcą duchów był Harry Price, który już na początku XIX wieku prowadził śledztwa paranormalne. Używał w tym celu aparatów fotograficznych i termometrów, by móc zarejestrować każdą zmianę otoczenia. Najpopularniejszą parą łowców duchów byli jednak Lorraine i Ed Warrenowie. Zyskali sławę dzięki głośnym śledztwom paranormalnym prowadzonym od lat 60. do 90. XX wieku. Jako demonolog i jasnowidzka przy rozwiązywaniu spraw bazowali na swojej wiedzy i umiejętnościach. W 1952 roku założyli New England Society for Psychic Research (NESPR), w ramach którego współpracowali media, lekarze i kapłani, dzięki czemu organizacja mogła za pomocą wielu kanałów badać zjawiska nadprzyrodzone.

Z czasem zaczęło się pojawiać więcej technologicznych narzędzi, a grupy poszukiwaczy duchów przestały być tak sformalizowane jak NESPR. Wciąż istnieje większe organizacje związane z wieloma specjalistami, takie jak Professional Team of Ghost Hunters (PTGH), które reagują na zgłoszenia, by pomóc poszkodowanym. Dziś najpopularniejsze są grupy przemierzające się między nawiedzonymi miejscami, nagrywające swoje śledztwa, by udostępnić je na portalach społecznościowych, co nie wpływa jednak negatywnie na ich zaangażowanie. – Nasza działalność to coś więcej niż hobby – to pasja i misja, które przenikają wszystkie aspekty naszego życia. Z jednej strony traktujemy to jak pracę, bo angażujemy się w to profesjonalnie, tworząc wartościowy content dla odbiorców. Z drugiej strony jest to sposób na pogłębianie własnej duchowości i ro-

była bardzo znana produkcja „Pogromcy duchów” (Ghostbusters) z 1984 roku w reżyserii Ivana i Jasona Reitmanów. Mimo że pionierska kinowa prezentacja łowców duchów była komedią, ta tematyka sprawdziła się także w horrorach. Seria „Obecność” inspirowana była historią śledztw wspomnianego wcześniej małżeństwa Warrenów i – bez względu na to, że jest podkolorowana, by przyciągnąć widza – pokazuje sam proces poszukiwania obecności sił nadprzyrodzonych.

– Wiele przedstawień jest przesadzonych dla potrzeb widzów lub zniekształconych przez ludzkie uprzedzenia i emocje, ale to zależy od osoby przedstawiającej – odpowiedział na pytanie o realizm kinowych reprezentacji zjawisk paranormalnych przedstawiciel OtherSide TV. – Naszym zdaniem warto patrzeć na niektóre historie z dystansem, próbując znaleźć równowagę między sensacją a rzeczywistością. My mamy niejako wpisane w naszą etykę ukazywać te zjawiska w sposób autentyczny, zachowując szacunek zarówno dla tajemnicy, jak i dla nauki. Chcemy być rzetelni w tym, co robimy. Choć w przypadku naszych badań dzieje się wiele rzeczy, które trudno logicznie wyjaśnić, to wiemy, że żadne wydarzenia nie są spreparowane, co odczuwają też nasi odbiorcy, którzy ufają naszym działaniom. Jeśli chodzi o rewelacje płynące ze świata w sferze paranormalnej, to uważamy, że każda opowieść, nawet jeśli nie w pełni realna, niesie w sobie fragment prawdy o ludzkich przeżyciach i wierzeniach – mówi.

Niezależnie od tego, czy ktoś wierzy w duchy i ufa metodom łowców duchów, trzeba przyznać, że ich praca jest intrygująca, przyciąga uwagę i skłania do refleksji dotyczącej celu egzystencji człowieka i życia po życiu.

Jaśmina SKROBAŃSKA
jasskr@st.amu.edu.pl

W dobie internetu, tanich linii lotniczych i języka angielskiego studia za granicą przestały być rzadkością. Ogromną popularnością cieszą się wyjazdy z programu Erasmus+. W ramach wymiany można odbyć maksymalnie rok studiów na I stopniu oraz rok na II stopniu. Na stronie internetowej programu możemy znaleźć informacje, że obejmuje on państwa członkowskie UE, EOG oraz EFTA, ale w ramach porozumienia może on też dotyczyć tak zwanych „państw trzecich niestowarzyszonych” właściwie na całym globie.

Jak podaje Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, od 2004 roku, a dokładniej od wejścia Polski do Unii Europejskiej, z programu Erasmus+ skorzystało 266 tysięcy polskich studentów. Taka decyzja wiąże się z dużą odpowiedzialnością, wymaga wcześniejszych przygotowań i rywalizacji z innymi chętnymi o miejsca. Zapytaliśmy studentów, którzy uczestniczą w wymianie, o ich doświadczenia związane z projektem, a także członkinię ESN UAM o to, jak w Polsce funkcjonują studenci z zagranicy.

Plan to podstawa

Zanim dojdzie do wyjazdu, trzeba przejść przez proces rekrutacyjny. – Momentami czułam się, jakbym od nowa rekrutowała się na studia, a wręcz miałam wrażenie, że cały proces był jeszcze bardziej skomplikowany – mówi Emilia, studentka trzeciego roku architektury na Politechnice Poznańskiej, która przebywa na Erasmusie w Lizbonie. – Rekrutacja na wyjazd na nadchodzący semestr zimowy rozpoczęła się już w styczniu. Pierwszym etapem był wybór uczelni, które mi odpowiadały pod względem programu i oferowanego języka nauczania. Musiałam poświęcić dużo czasu na szukanie informacji na własną rękę, jako że moja uczelnia przekazała mi jedynie listę dostępnych uniwersytetów, bez takich szczegółów. Drugi etap polegał na stworzeniu listy rankingowej studentów, którzy zadeklarowali chęć wyjazdu, na podstawie ocen, certyfikatów językowych i tym podobnych. Oczywiście nie można było mieć żadnych warunków. Ostatni etap rekrutacji ciągnął się praktycznie do samego momentu wyjazdu. Wiązał się z wypełnianiem wielu dokumentów takich jak Learning Agreement, w którym porównuje się program nauczania uczelni polskiej i goszczącej. Jest też umowa finansowa, której towarzyszyło wiele załączników, a te trzeba było uzyskać od koordynatorów Erasmusu zarówno w Polsce, jak i za granicą – wyjaśnia Emilia.

Jak widać, rekrutacja do programu wcale nie jest taka prosta i nie ma gwarancji, że zakończy się wyjazdem. Czy te trudności wynikają tylko z kwestii formalnych, czy gdzieś jeszcze pojawiają się problemy? – Największą trudnością były formalności związane z tworzeniem Learning Agreement, podpisywaniem umowy czy zarejestrowaniem się na uczelni w Salonikach. U mnie i tak poszło to w miarę sprawnie, ale znam wiele osób, które miały z tym duże problemy. Trudno było odnaleźć się też na samym kampusie. Pierwszego dnia razem ze znajomymi biegaliśmy od jednego budynku do drugiego, próbując znaleźć sekretariat. Odebranie Erasmus ID i dokumentu potwierdzającego przyjazd zajęło nam prawie pół dnia. Mimo to warto było pokonać wszystkie formalności – życie na Erasmusie totalnie to wynagradza! – mówi Michalina, studentka trzeciego roku kognitywistyki, która wybrała Saloniki.

Codziennosc daleko od domu

Początek wyjazdu wiąże się z wieloma formalnościami i ważnymi sprawami. Zastanawiać, a może i momentami przerażać może codzienność na zagranicznych kampusach. – Mam mniej przedmiotów niż w Polsce, dzięki czemu mam więcej wolnego czasu, ale obawiam się o pełną realizację programu polskiego. Poziom nauczania na mojej uczelni nie jest może gorszy, ale wymagania prowadzących są inne niż te, do których jestem przyzwyczajona – opowiada Emilia. Zajęcia nie są jednak jedyną częścią życia studenta. – Trudnością jest dla mnie mieszkanie samemu, ponieważ wcześniej zawsze mieszałam z kimś, kogo znam. Więcej czasu muszę przez to poświęcić na codzienne obowiązki. Zaskoczeniem dla mnie i wielu znajomych był też wiecznien opóźniony transport publiczny czy brak ogrzewania w większości mieszkań, co tu w Lizbonie jest standardem – dodaje.

A jak wygląda to od strony finansowej? Erasmus zapewnia stypendium dla studentów, jego wysokość zależy od kraju, do którego się udajemy. Czy to wsparcie wystarcza? – Myślę, że to zależy od kraju – mi w Grecji stypendium całkowicie wystarcza, myślę, że będąc w stanie utrzymać się na nim do końca Erasmusu

Studia bez granic



Jak naprawdę wygląda Erasmus?

sa. Nie wiem za to, czy gdybym pojechała gdzieś indziej, nadal byłoby tak kolorowo – tutaj ceny wynajmu mieszkań są całkiem rozsądne. Sama miałam szczęście i udało nam się z koleżanką znaleźć całkiem tanie mieszkanie w ładnej okolicy. Na uczelni codziennie dostajemy trzy całkowicie darmowe posiłki – nadal jest dla mnie niesamowite, że to w ogóle jest możliwe. Ale jest to też kwestia indywidualna, zależy, czy chcesz często wychodzić na miasto, jeść w restauracjach czy jeździć na wycieczki – mówi Michalina.

To perspektywa, która dla wielu polskich studentów może wydawać się kusząca. A jak sytuacja ma się w Lizbonie? – W moim przypadku stypendium wystarcza na pokrycie czynszu oraz codziennych wydatków. Wiem jednak, że nie jest to rzeczywistością dla wszystkich, jako że wśród moich znajomych są osoby, które całe stypendium wydają na sam czynsz. Na wyjazdy i wyjścia dokładam z własnych pieniędzy – mówi Emilia.

Przygoda, której się nie zapomina

Trudności zdecydowanie są, więc zastanawiać może czy pozytywne przewyższają wyzwania związane z wyjazdem. – Mimo trudności procesu rekrutacji i niepewności, jaka wiąże się z samodzielnym wyjazdem w nieznaną miejscę, jest to niepowtarzalna okazja na dłuższy pobyt w innym kraju, bez ryzyka, z jakim wiązałby się taki wyjazd na własną rękę. Na Erasmusie poznałam świat, ludzi, a przede wszystkim siebie – to doświadczenie sprawiło, że coraz częściej próbuję wyjść ze swojej strefy komfortu i chcę zobaczyć jak najwięcej nowych miejsc, póki mam do tego okazję. Jednocześnie dzięki wyjazdowi bardziej doceniłam moją polską codzienność i nie mogę się doczekać powrotu do kraju – wyznaje Emilia.

– Tak, tak i jeszcze raz tak!! Dzięki Erasmusowi poznałam wielu fantastycznych ludzi z całego świata, sporo poznałam i mam za sobą całkiem nowe doświadczenia. Erasmus pokazał mi, na ile tak naprawdę mnie stać – jeszcze nie tak dawno nie sądziłam, że dałabym radę wyprowadzić się z domu do całkiem obcego kraju, w którym nikogo aż tak dobrze nie znam. A tym bardziej że tak świetnie się tu odnajdę. Saloniki stały się moim drugim domem – stwierdza Michalina.

Erasmus to zatem nie tylko podróż fizyczna, ale też okazja do poznania samego siebie. W oparciu o słowa naszych rozmówczyń można stwierdzić, że jest to jak najbardziej pozytywne doświadczenie, które chciałyby powtórzyć w przyszłości. To była perspektywa studentek z Polski, które zdecydowały się na wyjazd. Jak wygląda sytuacja osób, które wybierają nasz kraj jako destynację swojej studenckiej przygody?

„Jesteśmy, żeby jednoczyć”

– Erasmus Student Network to organizacja studencka działająca na większości europejskich uczelni. Zrzesza osoby studenckie danej uczelni i jej mottem jest „students helping students”. My jako studenci lokalni pomagamy odnaleźć się studentom, którzy przyjeżdżają do nas na Erasmus, a jeśli mówimy o UAM-ie, to jest ich około 300 rocznie. Organizujemy wydarzenia dla tych osób, które nie tylko mają pomóc im odnaleźć się w naszych realiach. Tak jak koła naukowe mają swoje spotkania, tak my zapraszamy ich na spotkania, ale w trochę innym charakterze. My będziemy mieć wydarzenia typu nauka polskiego, wyjazd do schroniska, jakieś szkolenia – wyjaśnia Tamara działająca w ESN UAM Poznań jako Local education officer.

Czy ESN to tylko projekty i wydarzenia dla studentów zagranicznych? – Kolejną rzeczą, za którą jest odpowiedzialny ESN,

jest pomoc studentom w wyjeździe. To promocja wszystkich projektów, które istnieją w ramach Erasmus+. Ich celem jest uwrażliwienie i dodanie doświadczenia młodzieży europejskiej, rozumianej jako osoby od 16 do 30 lat. ESN więc nie tylko przyjmuje takie osoby, ale zajmuje się też bieżącymi problemami tych studentów. Jest też samokształcenie, ponieważ my, członkowie ESN potrzebujemy się szkolić. Jesteśmy po to, żeby jednoczyć wszystkich studentów ze wszystkich wydziałów – także niestacjonarnych, czy osoby starsze, które studiują. Jeśli miałabym w jednym zdaniu powiedzieć, na czym polega działalność ESN – jest to zbiorowisko ludzi z różnych miejsc o różnych doświadczeniach, którzy razem pomagają osobom przyjeżdżającym odnaleźć się w życiu uniwersyteckim, które już stworzyliśmy, a osobom, które chcą wyjechać na Erasmus – przełamać lody i pokazać jak być częścią Erasmus Generation – tłumaczy.

Polska krajem wypadowym

Polska w stosunku do reszty Europy nadal jest krajem stosunkowo tanim i bezpiecznym. Jak odnajdują się tu osoby z Erasmusu i co może przemawiać na korzyść wyboru właśnie tego państwa? – To zależy, z jakiej perspektywy na to patrzymy i o jakich osobach mówimy – mówi przedstawicielka ESN. – Jeśli mówimy o Europejczykach lub Europejkach, to na pewno odnajdą się oni lepiej, nie tylko w Polsce, w Poznaniu, ale generalnie. Osoby, które przyjeżdżają do nas z Azji czy Ameryki, to są osoby, które przyjeżdżają w ramach umów bilateralnych, czyli współpracy UAM-u z jakimś uniwersytetem w punkcie X. Natomiast Erasmus ma określone regulacje przyjazdu, wyjazdu, dokumentów, które trzeba wypełnić. Więc na pewno jest to bardziej uniwersalne i uregulowane. Polska to kraj, gdzie można na spokojnie dogadać się po angielsku, chociażby w supermarkecie, a nie we wszystkich miejscach tak jest. Na przykład w takim urzędzie miasta w Poznaniu możemy mieć problem, nawet jeśli chcemy załatwić sprawę pobytu tymczasowego, gdzie ten pracownik z automatu powinien mówić po angielsku. Jest to obowiązek dla każdej osoby przyjeżdżającej na Erasmus – w ciągu trzech dni od przyjazdu musi zgłosić się do Urzędu Miasta i się zameldować, żeby otrzymać numer PESEL, który może być potrzebny, chociażby do założenia konta bankowego. Uczelnia jest pomocna w stosunku do takich osób, większość rzeczy jest dostępna po angielsku, a nawet po ukraińsku i niemiecku – tłumaczy.

Zastanawiać może także to, dlaczego studenci wybierają się na wymianę do Polski. – Jeśli mamy do czynienia z osobami, które pochodzą z południa Europy, ich oczekiwania wobec Polski są następujące – przyjeżdżamy się świetnie bawić do kraju, w którym jest po prostu taniej. Polska jest krajem „wypadowym”, mamy dość dużą ofertę tanich lotów, więc taki Poznań może być bazą dla dalszych podróży. Polska jest więc tanim krajem, jest w Unii Europejskiej, nie ma płatności w euro, ale możemy szybko to sobie załatwić – przedstawia Tamara.

Pomoc i wsparcie

Powiedzieliśmy o działalności ESN, o Polsce jako kierunku potencjalnych wyjazdów. Warto też wspomnieć o wsparciu poza samym ESN. – Wszystkie osoby, które przyjeżdżają do nas na Erasmus, kontaktują się z jednym ośrodkiem na uczelni, którym jest Biuro Erasmusu. Panie pracujące w tym biurze to bardzo otwarte i przyjazne osoby. Jest także nowy ośrodek w Collegium Martineum – Welcome Center – które jest kolejnym miejscem wspierającym studentów. Dodatkowo zdaniem, które zostało nam (ESN) odebrane przez UAM jest projekt Buddy. Przed przyjazdem studentów zagranicznych na pograniczu sierpnia i września dostajemy listę osób, które przyjadą na nasz uniwersytet i my na podstawie tej bazy rekrutujemy lokalnych studentów, którzy są w stanie poświęcić swój czas i zająć się taką osobą, pomóc jej, jeśli pojawiają się jakieś problemy. Mogą to być proste rzeczy, takie jak pójście do apteki, do lekarza, gdzie może nie zawsze będzie możliwość się porozumieć po angielsku. Tych ośrodków jest więc sporo i jeśli ktoś chce, ma możliwość uzyskania wsparcia na UAM-ie. Większość osób, które przyjeżdżają na Erasmus, ma możliwość zamieszkania w akademiku i uniwersytet sam informuje o takiej możliwości. Każdy student jest inny, pochodzi z innego kraju, więc tę pomoc, jej wymiar trzeba po prostu dostosować do indywidualnych potrzeb – wskazuje Tamara.

Jak widać, Erasmus to ciekawa oferta dla studentów żądnych przygód. Zarówno z perspektywy osób, którym już udało się wziąć udział w programie, jak i tych przyjmujących, gospodarzy. Decyzja o wyjeździe należy do każdego z nas, ale może czasem warto się zastanowić, czy jeśli się tego nie zrobi teraz, nie będzie się potem żałować.

Książki (nie) po polsku

Książki z anglojęzycznymi tytułami w księgarniach stają się coraz powszechniejsze. Wydawcy zarówno przy zagranicznych, jak i rodzimych pozycjach rezygnują z polskich przekładów tytułów. Stawiają na nazwy oryginalne lub nie tworzą naszych wersji. Ten nowy „trend” na rynku książkowym rodzi wiele pytań. Chociażby: co stoi za tą decyzją i jak to będzie wyglądało w przyszłości?

Będąc w bibliotece lub księgarni w celu poszukiwania nowości, można natrafić na zagraniczne książki z ich pierwotnymi tytułami. Kiedyś można było pomyśleć, że to wydanie w oryginalnym języku. Jednak obecnie jest tak już coraz rzadziej i pozycje wydane w rodzimym przekładzie nie posiadają tłumaczonych tytułów. Idzie to o krok dalej i zdarza się, że nawet polscy autorzy stawiają na tytułowanie swoich książek w języku angielsku.

Kryzys amerykanizacji

– Powodem jest chęć używania języka dominującego na świecie, czyli języka angielskiego. Zapewne chodzi o to, że książki albo są tłumaczone na język angielski, albo tytuły angielskojęzyczne są nietłumaczone z angielskiego na język polski. Autorzy czy – zwłaszcza – wydawcy prawdopodobnie w sposób czysto merkantylny chcą niejako nawiązać do kultury anglosaskiej w tym sensie, że używają tytułów w oryginale albo zachęcają pisarzy do tworzenia tytułów po angielsku po to, żeby później łatwiej było ten tytuł po prostu sprzedać na Zachodzie i całym zglobalizowanym świecie. W odniesieniu do polskiego pisarza albo czytelnika, który zna język angielski, chodzi też o to, ażeby potencjalny nabywca książki nie musiał szukać w bibliografii czy w księgarniach tytułów, które są nie po angielsku, a po pol-



Tłumaczyć, czy nie tłumaczyć tytułów? Oto jest pytanie!

sku. To jest pewna komplikacja na rynku księgarskim – tłumaczy nowy fenomen prof. UAM dr hab. Michał Szczyszek z Zakładu Frazologii i Kultury Języka Polskiego, specjalista z zakresu kultury języka.

Są to dwa bardzo ważne powody – popularność i zysk. Obydwa są powiązane z globalizacją, która jest od dawna widoczna. Jak zauważył prof. Szczyszek – język angielski dominuje na całym świecie. W wielu wysokorozwiniętych państwach jest nauczany w szkołach i większość ludzi zna chociażby najbardziej podstawowe zwroty. Zatem jeśli ludzie i tak zrozumieją tytuł, po co go w ogóle tłumaczyć? Poza tym zagraniczny tytuł zdaje się bardziej zachęcający, zwłaszcza dla młodego czytelnika.

ka. To zjawisko widoczne jest częściej na przykładach książek, których grupą docelową jest młodzież. Im więcej chętnych czytelników, tym więcej sprzedanych egzemplarzy. Ostatecznie na tym najbardziej zależy wydawnictwom.

Tłumaczyć czy nie?

Znając już powody popularności tego trendu wydawniczego, należy się zastanowić, co będzie dalej? – Na razie tendencja jest taka, że raczej tytuły nie są tłumaczone, albo inaczej, są rzadziej tłumaczone, niż było to wcześniej. Jeżeli chodzi o moje zdanie, to ja bym oczekiwał jednak tłumaczenia nie tylko samej treści książki czy tej publikacji, ale też jej tytułu. Chociażby z tego powodu – jak pisał czterysta lat temu Mikołaj Rej to słynne zdanie „A niechaj narodowie wždy postronni znają, iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają”. Chodzi o to, że tytuł jest jakimś wskaźnikiem interpretacji tekstu. Jeżeli mamy tekst po polsku, a tytuł po angielsku, to mamy pewną rozbieżność. [...] Oczekiwałbym od literatury pięknej, od pisarzy, od tłumaczy, że wykonają swoją pracę do końca, czyli przetłumaczą wszystko, co jest do przetłumaczenia, a nie tylko pewien fragment. [...] Wielkim wyzwaniem, wielką sztuką jest to, żeby niekoniecznie tłumaczyć dosłownie, niekoniecznie tłumaczyć wierne, ale żeby znaleźć adekwatne pojęcie czy adekwatną strukturę pojęciowo-kulturową dla tego, co jest w danym tekście czy dziele oryginalnym – mówi prof. Szczyszek.

Obecnie widać, że w najbliższym czasie raczej na pewno wydawnictwa nie rezygnują z nieprzekładania tytułów książek, czyli pozostawiania ich w oryginalnym brzmieniu – angielskim. Wydaje się, że jest to działanie skuteczne, skoro jest tak popularne i zapewne zyskowne. Jednak czy to tylko chwilowa moda, która po jakimś czasie minie? Czy może dojdzie do tego, że wszystkie tytuły będą w języku angielskim? Na pewno ułatwi to pracę tłumaczy, jednak czy jest to na pewno dobre rozwiązanie dla odbiorców?

Mateusz KALMUK
matka18@st.amu.edu.pl

Nowa era w sporcie

Sztuczna inteligencja na przestrzeni ostatnich lat rozwija się w zatrważającym tempie, rewolucjonizując różne sektory, takie jak opieka zdrowotna, bankowość czy transport. Dlatego też nie powinno być dla nas zaskoczeniem, że nie ominęło to także świata sportu. W jaki sposób SI ma jednak pomagać w rozwoju sportu? Komputer nie pomoże biegać szybciej, nie poćwiczy za nas na treningu, nie zastąpi talentu i ciężkiej pracy. Pomimo to sztuczna inteligencja w sporcie to aktualnie codzienność.

Prozone – lider rynku w zakresie usług analizy wyników w piłce nożnej – stworzył pierwszy system śledzenia graczy za pomocą wizji komputerowej w 1997 roku. Obecnie 19 z 20 drużyn Premier League korzysta z Prozone. Wszystkie z tych drużyn posiadają swój własny zespół analityków wydajności, których celem jest szukanie wskaźników mierzących wydajność zawodników czy nawet wydarzeń determinujących przebieg meczu oraz mierzących trendy charakteryzujące badany sezon. SI w różny sposób pomaga trenerom za pomocą analizy wyników meczu, parametrów treningów czy statystyk zawodników. Dzięki nowym technologiom łatwiej jest zaplanować taktykę na zbliżające się wydarzenia, precyzyjnie ocenić, jaką wartość dla swoich drużyn mają poszczególni zawodnicy, a także wyciągnąć cenne wnioski dotyczące możliwości swojego zespołu bądź jego słabych punktów, nad którymi należy pracować.

Dla przykładu w piłce nożnej SI może analizować zarówno parametry zawodnika, jego ruchy, preferowane wzorce rozgrywania piłki, jak i rozstawienie. Sztuczna inteligencja może również przetwarzać dane na temat działań przeciwnika w czasie rzeczywistym, dzięki czemu zespół łatwo dostosowuje taktykę, zyskując przewagę na boisku.

Optymalizacja treningów

Nowe technologie pomagają zarówno wielu sportowcom, jak i ich trenerom w tworzeniu spersonalizowanych planów treningowych. Dzięki temu są one bardziej efektywne, ponieważ uwzględniają indywidualne potrzeby oraz ograniczenia każdego zawodnika, a w rezultacie maksymalizują wyniki sportowe. Wykrywać potencjalne zagrożenia mogą różnego rodzaju przyrządy monitorujące, a także naszpikowane czujnikami i zintegrowane z urządzeniami mobilnymi ubrania sportowe, które dzięki algorytmom



Si wykorzystywana jest w coraz większej liczbie dyscyplin sportowych

mom przeprowadzają analizę danych biomedycznych (takich jak tętno, sygnały z układu nerwowego czy poziom tlenu we krwi). SI potrafi przetwarzać dane dotyczące kontuzji sportowców, na przykład miejsca urazu, czasu rehabilitacji czy efektywności leczenia. Umożliwia to zawodnikom oraz osobom odpowiedzialnym za ich leczenie lepsze zarządzanie tym procesem i unikanie ponownych kontuzji w przyszłości.

Od lat opisywaną analizę danych wykorzystuje się z powodzeniem w NBA. Dzięki SI udało się również odkryć ciekawostkę dotyczącą poważnych kontuzji w koszykówce. Jest to sport bardzo kontaktowy, z czym wiąże się duża kontuzjogenność wśród graczy. Na podstawie otrzymanych wyników analiz wiadomo, że na poważne kontuzje nie ma wpływu wzrost czy waga zawodnika ani częstotliwość udziału w meczach lub treningach. Znaczenie ma za to zaangażowanie w grę w obronie.

Hawk-Eye, VAR

Szereg dyscyplin sportowych wykorzystuje nowe technologie w celu wspomaganie procesu sędziowania meczów. Jak każdy z nas sędzia jest człowiekiem i coś może umknąć jego uwadze – szczególnie kiedy w czasie rzeczywistym jest odpowiedzialny za grę fair play na boisku, a cały stadion krzyczy i sporo emocji wiąże się z wynikiem rozgrywki. Systemy, takie jak VAR (Video Assistant Refe-

ree) w piłce nożnej czy Hawk-Eye w tenisie, krykiecie bądź siatkówce, wykorzystują algorytmy sztucznej inteligencji do oceny obrazów wideo oraz podejmowania decyzji. Dzięki temu SI zwiększa dokładność i sprawiedliwość decyzji sędziowskich. Tego typu systemy posiadają jednak wadę – analiza wideo trwa, co skutkuje przerwami w grze na nieokreślony czas, które mogą wybić z rytmu obie drużyny i odebrać im skupienie.

Federacja siatkarska w tegorocznej edycji Ligi Narodów wprowadziła zasadę zielonej kartki. Otrzymuje ją drużyna za zachowanie fair play podczas meczu. Przykładowo drużyna jest przekonana, że przeciwnik dotknął piłkę po ataku, z powodu czego chce wykorzystać challenge. Druga drużyna przyznaje się jednak do błędu, dzięki czemu otrzymuje zieloną kartkę, a wszyscy unikają przerwy w meczu na analizę wideo.

Rozwój sztucznej inteligencji oraz otwartość na jej wykorzystywanie w sporcie pozwala na osiąganie lepszych wyników, poprawę efektywności, bezpieczeństwa oraz optymalizację wielu procesów związanych z rywalizacją, treningiem czy zarządzaniem drużyną. Wraz z użyciem SI możemy spodziewać się, że jej rola będzie rosła z roku na rok, przynosząc nowe możliwości zarówno dla sportowców, jak i kibiców.

Ada WÓJCIK
adawoj12@st.amu.edu.pl

Porażka smakuje najgorzej, gdy do wygranej brakuje tak niewiele. W tym przypadku do awansu siatkarki AZS UAM Poznań do finału Akademickich Mistrzostw Polski zabrakło jedynie jednego seta. W dniach 8-10.11 oraz 29.11-01.12 siatkarki i siatkarze reprezentujący UAM brali udział w rozgrywkach eliminacyjnych Ligi Akademickiej dla zachodniej części Polski.

Jest to turniej sprawdzający poziom sportowy zawodników i przygotowujący do rozgrywek ligowych oraz Akademickich Mistrzostw Polski. Uczelniana rywalizacja ma zachęcać do prowadzenia treningów i budowy zespołów, a także łączenia sportu na wysokim poziomie z edukacją. W Ligach Akademickich AZS występować mogą zawodnicy i zawodniczki w wieku od 18 do 25 lat.

Zabrakło tak niewiele...

W zawodach wzięły udział następujące kluby: AZS PG Gdańsk, AZS UG Gdańsk, AZS GUM Gdańsk, AZS AWFIS Gdańsk, AZS UKW Bydgoszcz, AZS UPR Poznań, AZS UE Poznań, a także AZS UAM Poznań. Po pierwszym turnieju reprezentanci Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza zajmowali pierwsze miejsce w klasyfikacji, jednak wszystko uległo zmianie po serii rewanżowej. W najważniejszym starciu siatkarki AZS UAM mierzyli się z drużyną AZS UKW Bydgoszcz. Nie brakowało długich wymian, asów serwisowych czy walki na siatce. Wszystko to okraszone było młodzieńczą fantazją i radością z gry. Jednak mimo wielu fantastycznych akcji i całego serca pozostawionego na boisku, to przeciwnicy wygrali mecz z wynikiem 3:0.

W końcowej klasyfikacji poznański zespół zajął drugie miejsce ze stratą jednego punktu do liderów. Warto zaznaczyć, że terminarz zawodów był bardzo napięty. Z uwagi na to siatkarki po bardzo wyczerpującym meczu, najpierw z AWFIS a następnie z Politechniką Gdańską, musieli wykrzesać z siebie resztki sił na decy-

Jeden set na wagę finału



Kadra AZS UAM Poznań Liga Akademicka Gdańsk 2024

dujące starcie. Wśród zawodników ewidentnie widać było zmęczenie, co przekładało się na niedokładne podania oraz osłabione ataki. – Ten turniej zapewnił nam dużo przyjemnych wspomnień. Były też gorsze chwile, jak zawsze, ale nie stanowiły przeważającej części. Dobrze się gra, jak wiesz, że jako drużyna dajecie z siebie to, co możecie i ciągle się nakręcaacie, pomimo trudnego przeciwnika. Jeżeli chodzi o poziom gry, to sądzę, że był dosyć wysoki – mówi Bartosz Ćmiekiewicz, siatkarz Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza.

Bez awansu, ale z uśmiechem

Z kolei siatkarki, które w tym turnieju zmagaly się z wieloma przeciwnościami, takimi jak na przykład kontuzje, zaprezentowały naprawdę wysoki poziom gry. Widać było na boisku ich radość i determinację po każdym wywalczonym secie. Ostatecznie zajęły czwarte miejsce. – Ogólny poziom turnieju był wysoki. Poziom dyk-

towały szczególnie dwie drużyny z Gdańska, którym ulegliśmy po ciężkiej walce. Uważam, że pomimo niekompletnego składu, dałyśmy z siebie wszystko i jako drużyna pokazałyśmy się z dobrej strony, a w trudnych sytuacjach wspierałyśmy się, co oczywiście jest ważne i stanowi podstawę w sporcie drużynowym – podkreśla Julia Rybacka, zawodniczka AZS UAM Poznań. Do ogólnopolskiego finału w Krakowie dostały się ostatecznie siatkarki z Politechniki Gdańskiej oraz siatkarki z Bydgoszczy. Zawody były mimo wszystko bardzo dobrym sprawdzianem i przygotowaniem do Akademickich Mistrzostw Poznania i Wielkopolski, których pierwsza runda już się rozpoczęła.

Zawodnicy z całą pewnością oprócz całego serca pozostawili na parkiecie także swoje zdrowie oraz czas poświęcony na przygotowanie.

Olga KRĘGIELSKA
olgre@st.amu.edu.pl

Sezon 2024 z jednej strony oznaczał dla Igi Świątek serię zwycięstw na początku roku, lecz z drugiej dotkliwie porażki. 21 października tenisistka straciła pozycję liderki rankingu ze względu na nieobecność w kilku kluczowych turniejach. W trakcie tego burzliwego i stresującego okresu sportowczyni zakończyła trzyletnią współpracę z trenerem głównym, Tomaszem Wiktorowskim, z którym osiągnęła pozycję liderki rankingu oraz zdobyła 19 z 22 tytułów w karierze (w tym cztery Wielkie Szlemy). Na ścieżce kariery zawodniczki pojawił się właśnie Wim Fissette, doświadczony szkoleniowiec, który być może otworzy przed Igą Świątek nowe możliwości.

Tenisistka w pierwszej fazie sezonu w błyskawicznym tempie zdobyła pięć tytułów. Po raz trzeci z rzędu (i czwarty w karierze) wygrała Roland Garros, co – jak podkreślała – dało jej siłę wewnętrzną. Druga część sezonu obfitowała w mniejsze sukcesy, chociaż wciąż utrzymywała wysoki poziom. Prawdopodobnie najbardziej dotkliwą porażką tego roku był przegrany mecz na Igrzyskach Olimpijskich w fazie półfinałowej oraz ostatecznie zdobycie brązu (a nie, zgodnie z oczekiwaniami, złota). Po tym niezadowolającym wyniku nie wywalczyła już żadnego tytułu w sezonie 2024. Nie sprostała oczekiwaniom również na turnieju US Open, przegrywając z Jessicą Pegulą w ćwierćfinale. Po Wielkim Szlemie w Nowym Jorku tenisistka wycofała się z rozgrywek na okres około dwóch miesięcy. Z tego powodu m.in. nie obroniła tytułu w Pekinie i tym samym straciła aż 1000 punktów rankingowych. Pierwszym turniejem po przerwie, jak i ostatnim w sezonie, były WTA Finals, podczas których wygrała dwa z trzech meczów, jednak rozrywki zakończyła już w fazie grupowej.

W trakcie przerwy, 4 października, Świątek ogłosiła, że zakończyła współpracę z Tomaszem Wiktorowskim. Powody zmiany trenera pozostają bliżej nieznanymi. Tenisistka wspominała jednak, że szkoleniowcowi należała się przerwa. 17 października, po krótkich poszukiwaniach nowego trenera, poinformowała, że jej szkoleniowcem głównym został Belg Wim Fissette, który pod swoim okiem trenował już liczne gwiazdy.

Doświadczony trener

44-letni Wim Fissette mimo młodego wieku ma już duże doświadczenie. Od 15 lat prowadzi karierę trenerską, podczas której szkolił aż dziesięć tenisistek, w tym pięć liderki rankingu (m.in. Osakę, Kerber i Azarenkę). Dotychczas nawiązywał współpracę raczej na krótki okres (jednego roku lub dwóch lat), a dwa razy ją odnawiał. Mimo to żadna z zawodniczek – oprócz Zheng – nie wy-

Iga Świątek na nowej drodze

powiadała się o nim krytycznie po zakończeniu współpracy. W przypadku Igi Świątek wydaje się, że sportowczyni nastawia się na dłuższą współpracę, ponieważ podkreśla, że „moja kariera to dla mnie maraton, nie sprint”.

Sukcesy w turniejach osiągnięte przez zawodniczki pod okiem Fissette'a przedstawiają się równie okazale, co liczba trenowanych tenisistek. Sportowczyni pod opieką Belga zdobyła aż sześć tytułów na Wielkich Szlemach, trzy na US Open, dwa na Australian Open i jeden na Wimbledonie. Warto zauważyć, że zawodniczki prowadzone przez Belga uzyskały dużą skuteczność w rozgrywkach na nawierzchniach twardych lub trawiastych. Tenisistką o innym profilu gry jest Iga Świątek, która zdobyła cztery Wielkie Szlemy na kortach ziemnych, natomiast tylko jeden na innej nawierzchni (US Open 2022). Dzięki temu pod okiem Fissette'a może udoskonalić grę na korcie twardym i trawiastym. Prawdopodobnie był to główny wyznacznik wyboru Belga na nowego trenera.

Istnieją również inne przesłanki tej decyzji, związane z techniką doświadczonego szkoleniowca. Styl pracy Fissette'a – zgodnie z jego stroną internetową – opiera się na trzech fundamentach: pozytywnym nastawieniu, dostosowaniu pod zawodniczkę i obustronnym zaangażowaniu. W wywiadzie dla podcastu „The Adam Blicher Show” szkoleniowiec opowiadał, że na sesjach treningowych skupia się głównie na mocnych stronach tenisistek, wpłatając co jakiś czas i na krótką chwilę pracę nad słabszymi elementami gry. 44-latek ma także reputację szkoleniowca, który podchodzi bardzo indywidualnie do każdej zawodniczki, dlatego rozpoczyna współpracę od obserwacji jej stylu gry, a dopiero później przechodzi do oceny i ustalenia celów. Sportowczyni, z którymi współpracował, opisując go jako spokojnego oraz wyrozumiałego. Fissette wymaga przy tym stuprocentowego zaangażowania od zawodniczek, co – jak sam podkreślał – zauważył u polskiej tenisistki.

Czasami nazywa się belgijskiego szkoleniowca „laptop coachem”, co odzwierciedla jego przywiązanie do statystyk. Jego ocena gry nie opiera się jedynie na intuicyjnych odczuciach, a na konkretnych danych, które pochodzą z systemu analizy SAP. Dzięki temu wyznacza cele sportowe na podstawie jednoznacznych informacji, a dodatkowo jego sposób komunikacji jest bezpośredni i rzeczowy. Co ciekawe, według Krzysztofa Rawy, Tomasz Wiktorowski inspirował się stylem pracy Belga i wymieniał go nawet jako autorytet ze względu na statystyczne postrzeganie gry.

Nowy trener

Wima Fissette'a od Tomasza Wiktorowskiego różni z pewnością jedna cecha, którą mogą odczuć kibice tenisistki – otwartość medialna. Polski szkoleniowiec wypowiadał się raczej enigma-

tycznie na temat formy i poziomu Świątek, rzadko punktował błędy zawodniczki czy wskazywał pole do poprawy. Belgijski trener przyjmuje inną postawę, ponieważ mimo krótkiego okresu współpracy znane są już jej ogólne cele.

Już w co najmniej dwóch wywiadach szkoleniowiec wspominał o planie współpracy. W jednym dla Sky Sports ogólnie stwierdził, że musi popracować nad grą na szybszych nawierzchniach. Dodał, że możliwe jest udoskonalenie jakości i szybkości serwisu, wymian przy siatce oraz różnorodności gry. Komentował także, że kiedy wymiana ma duże tempo, Świątek próbuje czasami grać szybciej niż przeciwniczka, co nie jest zgodne z jej stylem gry. Z kolei w wywiadzie dla Eurosportu wyjaśnił, że konkretniejsze cele pojawią się dopiero po kilku miesiącach współpracy.

Perspektywy na nowy sezon

Poza zmianą trenera w sezonie 2024 miało miejsce wiele kluczowych wydarzeń, spośród których warto wspomnieć o dwóch, zdaje się najważniejszych – porażce w półfinale Igrzysk Olimpijskich i pozytywnym wyniku testu antydopingowego. Złoto na Olimpiadzie w Paryżu miało dla Świątek ogromne znaczenie, jednak nie udało się go wywalczyć, co dotkliwie przeżyła. Wzmocniło ją to jednak psychicznie, podobnie jak drugie wydarzenie. W teście antydopingowym, z 12 sierpnia, wykryto śladowe ilości zakazanej substancji (trimetazydyny), którą tenisistka nieświadomie zażywała z fabrycznie zanieczyszczonym lekiem nasennym. Z tego powodu została zawieszona na okres od 12 września do 4 października i dlatego nie mogła m.in. obronić swojego tytułu w Pekinie. Jednocześnie przeżyła ogromny stres w związku z dalszym biegiem jej kariery, która – wbrew jej woli – mogła się szybko i niespodziewanie zakończyć. Ostatecznie ITIA nie znalazła istotnej winy lub zaniedbania („No Significant Fault or Negligence”) w zachowaniu Świątek – tym samym tenisistka poniosła minimalną karę za zaistniałą sytuację. To doświadczenie było trudne, jednak dodało jej również motywacji do dalszej gry.

Między innymi dlatego nowy sezon zapowiada się obiecująco dla Igi Świątek. Ze względu na wydarzenia z ostatnich kilku miesięcy poprawiła swoją odporność psychiczną, co może przełożyć się na jej wyniki. Nowe doświadczenia przypuszczalnie sprawią, że będzie bardziej cieszyła się grą, a 2025 rok będzie dla niej mniej stresujący. Pozostaje poczekać na efekty współpracy z Wimem Fissette'em, a także mieć nadzieję, że wraz z nowym szkoleniowcem Iga Świątek powróci na pozycję liderki rankingu i wielokrotnie będzie sięgać po najwyższe laury.

Klára KUCZA
klakuc8@st.amu.edu.pl